



## Teresa Krzyżanowska

## część II z IV

Sygnatura notacji: **N0619**

Data urodzenia: **24.01.1932 r.**

Data nagrania: **21.05.2024 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sudół**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 57 min, część III: 60 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 42 min.**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Teresa Krzyżanowska:** Widzieliśmy codziennie, conocnie właściwie, naloty na Hamburg, bośmy byli blisko, więc najpierw ogłaszali alarm, myśmy byli w miarę bezpieczni, bo to nie były takie zakłady, które warto było bombardować, natomiast bombardowali Hamburg bardzo. Hamburg był bardzo zbombardowany po wojnie, widzieliśmy. Myśmy wychodzili przed barak i patrzyliśmy. Zresztą widoki były niesamowite. Najpierw reflektory szukały samolotów. Tak jak miecze po niebie poruszały się te reflektory. Anglicy rzucali jakieś lampiony na spadochronach, że one oświetlały Hamburg. To niesamowicie wyglądało. Na ciemnym niebie kolorowe te lampiony. I potem rzucali coś, co nasi Polacy mówili, że to są lekkie blaszki. Ja przypuszczam, że to był jakiś plastik. Drobiny tego plastiku, które zastaniały samoloty. A długo się utrzymywały w powietrzu. Więc to nie były żadne lekkie blaszki, to musiał być plastik jakiś. Tak że widoki były niesamowite, bo te blaszki były oświetlone przez te lampiony jakieś, prawda, które na spadochronach wisiły. Zaczynało się bombardowanie, a myśmy się cieszyli, że Hamburg bombardują, że za Warszawę należy im się to. Lagerführer wściekał się wtedy. Lagerführer z tego baraku. Bardzo był niezadowolony, bo widział nasze rozradowane miny. Może to nie było ładnie, ale tyle było naszej słodkiej zemsty. Ale Lagerführer się zemścił, bo przed samym zakończeniem wojny, na parę dni, nie wiem, czy to były 2 dni, czy 3 dni, przyjechał z Arbeitssamtu gość, który miał polskie nazwisko, tu jest wpisane do tej książki, kierownik Arbeitssamtu, Zindrowski. Przyjechał i mężczyzna będzie zabierał z baraku wszystkich. A ponieważ ojciec po tej chorobie był słaby, był ciężko chory jeszcze, więc wiadomo było, że mieli ich pędzić na piechotę na północ. Mamusia była przerażona. Zaczęła płakać, wtargnęła do tej izby, gdzie był ten Lagerführer. A tam był właśnie ten kierownik Arbeitssamtu Zindrowski. Był kierownik jakiejś fabryki czy właściciel tej fabryki. Garbarni jakiejś. Mamusia wtargnęła do nich i zaczęła mówić tyle, co umiała po niemiecku, mówiła tylko, powtarzała, składała ręce i mówiła, że: „Ein mann ist krank” [niem. mężczyzna jest chory].

A dalej to mówiła po polsku, że nie może iść, i płakała. Ten właściciel czy kierownik fabryki, tej garbarni, raptem się zlitował, bo na tamtych to w ogóle, tak jakby nie słyszeli tego, nie reagowali. A właściciel tej fabryki powiedział: „Tyle już wzięliście ode mnie, że ten chory niech zostanie”. I tamci się już w końcu zgodzili. I ojciec został. Okazało się, że tamtych pędzili 50 kilometrów dziennie na północ Półwyspu Jutlandzkiego. I skończyła się wojna, więc oni zaraz przyszli z powrotem. Ale ojciec by nie przeszedł tych 50 kilometrów, padłby gdzieś po drodze. Tak się wojna skończyła. Mieszkaliśmy dalej w baraku. A ja może się jeszcze cofnę, bo nie powiedziałam jeszcze, jak byliśmy w Ursusie. Myśmy nie przeszli przez Pruszków, wychodząc z Warszawy, bo takich obozów było więcej. Jeden obóz był w fabryce „Ursusa”, która była nieczynna w tym czasie. W tych halach fabrycznych nas trzymali. Więc pierwszego dnia na betonie spaliśmy w takiej hali fabrycznej. Następnego dnia nam kazali wychodzić. Wyszliśmy i szliśmy razem, czwórka, to znaczy nas troje i Natalka. A żołnierz niemiecki stał i nas sortował. Jednym mówił: „Links” [niem. na lewo], a drugim mówił: „Rechts” [niem. na prawo]. Ale myśmy nie wiedzieli, czy lepiej tu, czy lepiej tu. Nie wiedzieliśmy w ogóle, po co nas tak sortują. Nam kazali iść links, a Natalce powiedzieli rechts. A Natalka nie słyszała, była głucha. Jak zaczęła krzyczeć, jak zaczęła się z tym żołnierzem szarpać, zaczęła krzyczeć, płakać wniebogłose i szarpać się z tym żołnierzem. Myśmy zmartwieli zupełnie, bo przecież mógł być uzbrojony żołnierz, ta się z nim szarpie, mógł ją zastrzelić zwyczajnie. A żołnierz poszarpał się, poszarpał się, w końcu widział, że nie da rady, machnął ręką i puścił ją na lewo. I została wywieziona z nami do Niemiec. I tak byliśmy razem. Jak się wojna skończyła, dalej byliśmy w tym baraku, a Natalka została na tym pierwszym lotnisku pod granicą duńską. A myśmy dalej w tym zawszonym, zapluskwionym baraku, tam z sufitu te pluskwy kapały dosłownie. Okropny był, zapluskwiony ten barak. A poza tym jak tyle ludzi przechodziło i wszyscy, przecież 2 miesiące myśmy nie myli się. Jak była woda, to była woda do picia. Szkoda było na to, żeby myć ręce nawet, jeżeli już, to tylko ręce się myło. Nic dziwnego, że od razu były te wszy. Anglicy już przyjechali, byli parę godzin i odjechali. I takie było bezkrólewie tam. Ojciec poszedł do miasta, zaczął się dopytywać, czy nie można byłoby znaleźć jakiegoś pokoju, żebyśmy wyszli z tego zawszonego baraku. A tam mówią ojcu, że jest Niemka, która najładniejszy pałacyk taki w centrum miasteczka miała. Ona była aresztowana, była w obozie koncentracyjnym ostatni rok wojny i ona może nas przyjmie. Ojciec do niej poszedł, a ona mówi tak: „Proszę bardzo, jest mieszkanie trzypokojowe wolne”. Bo ona przyjęła w czasie wojny rodzinę z Hamburga, której dom był zbombardowany. Oni przyszli z dwiema walizkami do niej. Ona im dała, nie w tym pałacyku mieszkanie było, tylko w ogrodzie był dom, gdzie były 3 pokoje na parterze i 3 pokoje na górze. Na parterze był ogródnik, a na górze były wolne te pokoje i ona pozwoliła tym Niemcom z Hamburga tam zamieszkać. Ponieważ była ich dobrodziejką, zaczęła swobodnie mówić i powiedziała takie słowa, że Hitler jest nienasycony. A oni poszli do Gestapo i donieśli. Więc ją aresztowali, siedziała rok w obozie koncentracyjnym, siedziała z Polkami, miała sympatię do Polek i do Polaków. I powiedziała ojcu, że ona ma mieszkanie trzypokojowe, bardzo proszę, przyjdźcie. Więc myśmy długo, nie mieliśmy żadnych rzeczy wobec tego. Tak jak wyszliśmy z powstania, to tak byliśmy ubrani. Więc przeszliśmy tam. Cudownie. Mieszkanie umeblowane, czyste, przed oknami ogromna magnolia, która przewyższała wzrostem nasz ten domek. Kwitła akurat, bajka zupełnie. Tymczasem po paru dniach już byli Anglicy, krzywdy Niemcom nie robili, zachowywali się przyzwoicie. I ci ludzie z Hamburga, których ona wpuściła, przyszli z powrotem do tego mieszkania. A Niemka miała takiego ogromnego psa, wzięła pejsz i przegoniła ich tym pejszem. Tak że usłyszeliśmy tylko, że była jakaś awantura, krzyki i Niemcy tamci z Hamburga uciekli. Więc zostaliśmy w tym pięknym mieszkaniu, jak dla nas to była bajka przecież. Z tą kwitnącą magnolią ogromną, to jeden bukiet kwiatów był. Ale Anglicy postanowili nas zebrać, bo przecież Polacy i u baferów [niemieckich gospodarzy] byli, rozproszeni. Wobec

tego koszary były puste i nas skoszarowali pod Hamburgiem w Pinnebergu. Byliśmy tam, wszystkich kazali zabrać, więc jak kazali, trzeba było iść. Dostawaliśmy już przyzwoite jedzenie. Niemcy zostawili groch i codziennie była grochówka na obiad i na kolację. Tak że karmili nas już dobrze, ale mieliśmy potem dosyć grochówki. Przyjechała Komisja Czerwonego Krzyża do tych koszar niemieckich dowiedzieć się, kto chory, kto nie chory, ewentualnie to był Czerwony Krzyż Międzynarodowy i Szwedzki. I ojca zakwalifikowali jako chorego. I żeby nas nie rozdzielać, to wszyscy pojechaliśmy do Szwecji. Ale w międzyczasie przyjechała Natalka do tych koszar. Bo tam była Polka, która się zakochała we Francuzie. Też robotniku, który tam w tym baraku francuskim był. I Niemcy przed samym końcem wojny zabrali gdzieś tego Francuza, ona nie wiedziała gdzie. I jak wojna się skończyła, to był taki pan Klimczak, który zafasował ciężarówkę. Jak on zafasował ją, to ja nie wiem, ale wszystkich Polaków woził tą ciężarówką, tak że byliśmy parę razy w Hamburgu, byliśmy w Lubece tą otwartą ciężarówką. Między innymi prosiła go ta Polka, że ona szuka tego narzeczonego swojego, nie wiadomo, gdzie go Niemcy wywieźli. I dojechała do tego lotniska, gdzie myśmy poprzednio byli, gdzie została Natalka. Zaczęła się rozmowa. Natalka głucha, ale poszła do niej i pyta: „A nie ma tam takich państwa, co mieli Terenię, co mają Terenię, taką dziewczynkę Terenię?”. Ona mówi: „A są”. To Natalka się załadowała na tę ciężarówkę i przyjechała do nas. Więc ojciec powiedział, że to jest rodzina, bo już nie będzie tłumaczył wszystkim, jakie są związki między nami. Naprawdę były rodzinne. Natalka pojechała też do Szwecji z nami przez Lubekę, z Travemünde zapakowali 2 statki. Jeden to byli w większości z obozów koncentracyjnych Polacy, Żydzi. Dużo z Ravensbrück, znaczy dużo, na tych 2 statkach. Pojechaliśmy. A jechaliśmy tak tym statkiem, załadowali nas rano na statek w Travemünde. Dojechaliśmy do Redy i stanęliśmy na Redzie. I staliśmy bardzo długo. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Okazało się, że potem przyjechał drugi statek i trzeci. Trzeci to był poławiacz min. Bo Bałtyk był zaminowany. I oni nie mogli puścić statków z ludźmi. Wobec tego czekaliśmy do wieczora. I wydarzyła się taka historia, też bardzo charakterystyczna. Tam już byli [niezrozumiałe] Anglicy i Anglik nudził się, to już był koniec lipca. Pojechał sobie kajakiem czy łódką na morze z psem. I pies jakoś, znaczy on, Anglik manipulował żaglem i pies spadł do wody. I topił się pies. Nie mógł się wdrapać na tę łódkę. W rezultacie Anglik rzucił się na pomoc psu i też by się utopił. Oni byli z daleka dosyć. Kto się rzucił na pomoc? Nie żaden Anglik, nie żaden Niemiec, nie żaden Szwed z okrętu. Przecież marynarze na ogół umieją pływać. Kto się rzucił? Polak z obozu koncentracyjnego. Popłynął, wyratował i Anglika, i psa. Myśmy to wszyscy, statek się przechylił tak dosłownie, bo wszyscy patrzyli z tej strony statku. To było widowisko niesamowite. Tak że ja się przestraszyłam, że statek się zatopi, bo dosłownie tak statek się przechylił. Tak myśmy mówili wtedy, że to jest charakterystyczna sprawa dla Polaków, bo co go to obchodziło? Niemców nie obchodziło, Anglików nie obchodziło, Szwedów nie obchodziło, ale Polak go uratował. Tak że takich historii było sporo. Płynęliśmy tym statkiem 2 dni. Charakterystyczne było, że pierwszy ten poławiacz min płynął, potem nasz statek, a za nami ten drugi statek. I poławiacz min jak płynął na przykład w tę stronę, pod kątem prostym zakręcał. I myśmy tak samo, nie jechaliśmy na ukos, żeby byłoby bliżej, tylko tak samo pod kątem prostym. I ten trzeci statek tak samo zakręcał. Czyli tu musiało być jakieś niebezpieczeństwo. Tak dojechaliśmy do Szwecji. W Szwecji nas witali, do Helsingborgu dojechaliśmy. Szwedzi, ale w ogóle myśmy byli dziećmi, tam jeszcze taki chłopiec był też, z tego samego obozu co my. I on miał tyle lat co ja, ale był dużo mniejszy ode mnie. I myśmy się nie mogli nadziwić, że ludzie są tak ładnie ubrani, że pełno kwiatów jest, że miasto niezbombardowane, że wszystko, myśmy nie rozumieli, jak wygląda świat normalny. Strasznie chcieliśmy zobaczyć ten Helsingborg, ale Szwedzi się bali zarazy, więc wzięli nas na 6-tygodniową kwarantannę. To było parę kilometrów od Helsingborgu. W parku były porozrzucone piękne wille i wszystkie były przeznaczone dla tych ludzi z obozów. To byli Polacy, to byli Żydzi, to byli nawet Litwini, rozmaici byli.

Zresztą w idealnych warunkach. My oberwańcy tacy już, wzięli nas przede wszystkim do kąpieli, do odwszawiania. Ciągle chodziliśmy do odwszawiania, ale to niewiele pomagało. A w Szwecji widziałam przy tej kąpieli Polki z obozu Ravensbrück. To były żywe trupy. Nigdy nie widziałam tak chudych ludzi. Nogi miały szerokości dwóch palców, rozszerzały się w kolanie i dalej uda były w szerokości dwóch palców, a one całe były w takich brązowych plamach, takich dużych plamach. Nie wiem, czy to były po tyfusie plamy, nie dowiedziałam się tego. Ale niesamowite, one były wnoszone na noszach, już o własnych siłach nie chodziły, ale też myli je. Tak że potem właśnie zawieźli nas do Ramlösa, do tego parku, gdzie były te wille. Dali nam piętrowe łóżka, mężczyźni oddzielnie, kobiety oddzielnie. Tak że ojciec był oddzielnie, a myśmy były oddzielnie. Byłyśmy z panią, na jednym łóżku spałyśmy z panią Olgą Nider. Nie wiem, czy panowie słyszeli o niej. To był niezwykle człowiek. Zawsze mówię, że miałam szczęście do takich ludzi naprawdę dużo znaczących. Nie na wielkich stanowiskach, ale niezwykle ludzi. To była Polka, aresztowana, trafiła do Ravensbrück z matką i siostrą. Matka umarła, siostra umarła, a ponieważ ta Olga znała dobrze język niemiecki, więźniarki prosiły, żeby ona się zgodziła być blokową. I ona została blokową. Jak zaczęli Niemcy robić doświadczenia na tym transporcie harcerzek przeważnie z Lublina i tam była ta, ojej, jak się nazywała. Teraz umarła, mając 101 lat. Sosenka, nie Sosenka, Sarenka? W każdym razie te więźniarki to były młode dziewczyny poddawane różnym doświadczeniom lekarzy niemieckich. One były szczepione jakąś zarazą tam, w strasznych warunkach. I Niemcy przed końcem wojny chcieli je zlikwidować w ogóle, żeby nie zostały ślady ich działalności. I Olga Nider w swoim baraku przechowała je. Tak że one nie tylko w tym baraku były, ale w ogóle to była niezwykła osoba, niezwykle bohater. Tak że miałyśmy szczęście z nią być razem. Tam było cudownie, bo park piękny. W kasynie nas stołowali. Codziennie bez mała, prawie codziennie. Jakieś urządzali dla nas albo przedstawienia, albo koncerty, albo jakieś tam tańcówki. Samochody przyjeżdżały ze sklepów i każdy dostawał kartę, gdzie mógł sobie wybrać ubranie, buty, palto. W ogóle całkowicie się ubrać. Po jednym egzemplarzu albo po dwa egzemplarze, jeżeli chodzi o bieliznę. Każdy mógł sobie wybrać kolor, rozmiar ubrania. Jak ubraliśmy się w te nowe ubrania, tośmy się nie poznawali, bo przyjechaliśmy oberwani dziady, a potem elegancko ubrani ludzie, zupełnie niepodobni do tamtych. Szwedzi byli nadzwyczajni dla nas. Nadzwyczajnie, od razu leczyli. Pawilon był dla ciężko chorych. Tam nawet nam nie pozwalali chodzić, żeby nie rozsiewać zarazy. Badani byliśmy na wszelkie choroby. Dentyści byli, którzy reperowali zęby, ratowali. Nadzwyczajnie. A potem nas porozsyłali po różnych miejscowościach. Byliśmy razem wszyscy. A my z tym chłopcem z kolei bardzo byliśmy ciekawi świata. Taki normalny świat jak wygląda. Bo jak nas przewozili przez Helsingborg, tośmy tyle widzieli. To piękne miasto na takiej górze położone. Zobaczyliśmy, że psy się podkopały pod siatkę i pies się przeczołgał. To myśmy się też mogli przeczołgać. Ponieważ do Ramlösa dochodził tramwaj z Helsingborgu, to przy torach tramwajowych lecieliśmy na piechotę do Helsingborgu zobaczyć. W ogóle miasto było jak z bajki dla nas. Strasznie nam się podobały takie automaty, gdzie była czekolada, gdzie były kiełbaski na gorąco. W czasie okupacji nie widzieliśmy przecież tego, więc to było dla nas ogromną sensacją. I ludzie tacy uśmiechnięci, tacy życzliwi dla nas. Potem patrzyliśmy, pytaliśmy, która godzina. I lecieliśmy znowuż na piechotę tych parę kilometrów, żeby grzecznie siść do obiadu i żeby nikt nie zauważył, żeśmy się urwali z kwarantanny. I tak parę razy biegaliśmy do Helsingborgu. Ale potem nas już porozdzielali. Był taki bardzo bogaty Szwed mieszkający w Tingsrydzie. To była taka wieś, jak miasteczko, bardzo niewiele ludzi, ale sklepy takie eleganckie jak w Warszawie na Marszałkowskiej były. Mimo że to taka wieś była, jeden kościół był, taka kircha luterkańska. A sklepów było nadzwyczajnie dużo. W ogóle wszystkiemu dziwiliśmy się. Właściciel sklepu wychodził na obiad i sklep zamykał, na zewnątrz był haczyk. Zamykał na haczyk i odchodził. Każdy widział, że nie ma nikogo w sklepie, a na haczyk zamknięty. Nikt nie

kradł. Nasi rodacy zobaczyli na ulicy, że ktoś zgubił, ja już nie pamiętam, czapkę czy rękawiczki. No to wzięli, odnieśli na policję. A na policji mówią: „Po co przynieśliście? Przecież jak ktoś zgubił, to pójdzie tą samą drogą i znajdzie”. Dzisiaj w Szwecji już są inne warunki. Zdarzają się i kradzieże, i zabójstwa. Ale wtedy było tak. Ten bogaty Szwed miał 3 wille, ale takie duże, kilkunastopokojowe. Jedną dał dla Polaków, drugą dla Żydów, a w trzeciej sam mieszkał z rodziną. Więc najpierw poszedł do Żydów, a Żydzi się kłócili i mieli jakieś pretensje. Więc taki niesmak, wszystko dostali. Przyszedł do Polaków. A Polacy zadowoleni, dziękują mu. Więc był zadowolony też. Jak zobaczył, bo o imięninach oni nie wiedzieli, ale jak zobaczył z dokumentów, że ktoś obchodził urodziny z Polaków, to torty były na stole, na kolację, były torty, było piwo jakieś tam, w ogóle smakołyki, dlatego że ktoś jeden miał urodziny. Więc taki był stosunek Szwedów do tych ludzi przywiezionych z obozów. Nadzwyczajny był. Chodziłam ciągle do dentysty, bo już na kwarantannie chodziłam. Potem wszystkie zęby mi się psuły. To jednak to wyżywienie i ciężkie warunki dawały, były skutki tego. Do 20 lat to było, potem przeszło. Tak że ratowali nas, jak mogli. Od tego właśnie właściciela dostałam rodzaj pamiętnika, taką guest book, to książka gości, u nich w domu leży taka książka gości. Ale myśmy to traktowali jako pamiętnik i ojciec na pierwszej stronie tego pamiętnika wpisał mi sentencję, że o Polskę można walczyć wszędzie, ale budować Polskę można tylko w kraju. Ten pamiętnik, zgodnie z tą sentencją z pamiętnika, ojciec zdecydował, że wracamy pierwszym transportem, znaczy nie pierwszym w ogóle, bo pierwszym z tej miejscowości, pierwszym możliwym dla nas. Wróciliśmy pierwszym transportem. Mimo że ojcu proponowali Szwedzi pracę w Szwecji i mieszkanie, i dobre warunki, ale wracaliśmy pierwszym transportem.

### **Tomasz Sudół: Jak ten powrót wyglądał?**

**Teresa Krzyżanowska:** Dojechaliśmy, Szwedzi nas wywieźli do Malmö. Tam z Malmö odchodziły statki. W Malmö czekaliśmy kilka dni. Dali nam na drogę, w Gdyni dali paczki na drogę. Bo wiadomo było, że szybko się nie dojedzie w kraju. Przecież tory były pozrywane. Myśmy jechali do Kielc do babci, ale do Kielc nie było pociągów. Tak że do Częstochowy, Kraków, Częstochowa, tak jechaliśmy, 2 dni jechaliśmy. W Gdyni dali paczkę z jedzeniem na drogę i od PUR-u [Państwowy Urząd Repatriacyjny] dostaliśmy 100 złotych na łebka. Ile to było warte, to można obliczyć, bo rodzice mówili, bo ja byłam jeszcze za smarkata. Jak dojechaliśmy do Częstochowy wieczorem, trzeba było czekać całą noc, bo rano był pociąg Częstochowa – Kielce. Ojciec zdecydował, że pójdziemy na gorącą herbatę na stacji. W bufecie 3 herbaty kosztowały 19,50. Więc te 100 zł to nie było dużo. Ale wrócę jeszcze do Szwecji, jak byliśmy na tej kwarantannie, ale Szwedzi dowiedzieli się, że u nas jest święto 15 sierpnia. Więc mimo że była kwarantanna, to powiedzieli, że do kościoła można iść. I w Helsingborgu jakiś był taki nieduży kościół, na peryferiach Helsingborgu, taki murowany kościół był, katolicki. Jechaliśmy tramwajem z tym przewodniczącym, jakimś tam Szwedem. Była msza w kościele, były uroczystości. Szwedzi zamówili fotografa. Wszyscy, całą dużą grupą stanęliśmy przed kościołem. I po drodze jeszcze mówił nam ten przewodniczący, że tam są cztery zakonnice z Ravensbrück. Siedziały w Ravensbrück i właśnie zabrane, przy kościele są. Robili nam zdjęcia po mszy. Ja mam te zdjęcia, znaczy z gazety wycięte. Wszyscy jesteśmy i tam jakiś pan szedł z nami, dla nas nieznajomy. Ale jak się dowiedział, że są 4 zakonnice z Ravensbrück, to podszedł do nich, bo te zakonnice też były na zdjęciu. Podszedł do nich, pyta: „A nie znały siostry, nie było tam mojej żony?”. „A jak się nazywała?”. „A tak i tak”. „To jest tu z nami”. I tak się małżeństwo spotkało po wojnie. A takich spotkań było więcej. Niesamowite były spotkania. Wspominałam już, że był taki kierowca Klimczak, który zafasował ciężarówkę. Woził, gdzie kto chciał, to właśnie ta Francuzka zwiedzała

różne obozy, spotkała tego narzeczonego w końcu i przywiozła do nas [niezrozumiałe]. A myśmy jeździli, ojciec tam miał kolegów w Lubece, tam był wielki obóz. Tam byli więźniami oficerowie z 1939 roku i z powstania. Ojciec tam miał kolegów i parę razy jechaliśmy tam. Któregoś razu jechaliśmy jeszcze z Niemiec, jak byliśmy w tych koszarach skoszarowani. I z nami jechała młoda dziewczyna, która już była 3 lata w Niemczech. Jechaliśmy autostradą, ale połowa autostrady była zajęta przez Anglików. Tam mieli jakieś magazyny, postawili takie namioty na prawej stronie szosy, a lewą stronę był ruch i w jedną, i w drugą stronę. I nagle jedziemy, przejeżdżamy przez jakąś miejscowość. Idą ludzie chodnikiem, a my jedziemy w tamtą stronę. I nagle ta dziewczyna zaczyna krzyczeć, walić w dach szoferki, żeby się zatrzymać. Zobaczyła brata, który równocześnie był złapany z nią. I oni nie mieli żadnego kontaktu, ona nie wiedziała, czy on żyje nawet. Zobaczyła brata idącego. Gdyby nie traf, że Anglicy postawili namioty na szosie, to jechalibyśmy prawą stroną i nie spotkaliby się. Ona wysiadła, już nie wsiadła do tego samochodu, tylko została z bratem. Ale takie były spotkania często. – Bardzo wyjątkowe. No i tak. Wróciliśmy do Kielc, nie mając nic. Znaczący ubrania eleganckiego na sobie. Rodzice chcieli, żebym poszła do szkoły. Ja uważałam, że jestem taka dorosła, że powinnam już iść do pracy. Jak to, rok pracowałam i teraz do szkoły pójdę? Ale rodzice uważali inaczej. Bo ja skończyłam szóstą klasę powszechną na kompletach, bo naszą szkołę zajęli Niemcy, wobec tego, mimo że szkoły podstawowe, te powszechne znaczący, były czynne polskie, dopiero gimnazja miały na kompletach, komplety, uczyły się dzieci na kompletach, to też uczyliśmy się na kompletach, dlatego że szkołę zamknęli.

### **Tomasz Sudół: Która to była szkoła?**

**Teresa Krzyżanowska:** Platerówny. Na Piusa XI, czyli teraz Piękna. Skończyłam tę szóstą klasę. Traf chciał, że na ulicy, na centralnej ulicy Sienkiewicza w Kielcach spotkaliśmy panią przełożoną od Platerówny. Też była w Kielcach, po wojnie warszawiacy wszędzie byli, i w Polsce, i poza Polską. Wszędzie można ich było spotkać. Wszystkie dokumenty też poginęły. Ale pani przełożona mówi: „Przecież ja pamiętam, że miałaś same piątki”. Jeszcze babusia mówiła tak: „Jak pani może pamiętać to?”. Ona mówi: „Jak miała same piątki, to pamiętam takie piątkowe uczennice”. I dała zaświadczenie, że skończyłam szóstą klasę. Rodzice poszli do państwowej szkoły, bo uważali, że w państwowej będzie taniej. A w państwowej szkole zażądali jakieś tam opłaty wpisowe, a potem koło rodzicielskie. Szkoła była za darmo, ale za koło rodzicielskie trzeba było płacić i za wpisowe też. A rodzice mieli te 100 złotych, a po paru dniach to już nie mieli nic. Więc ciocia doradziła, żeby poszli do zakonnicy. Tam była szkoła Sióstr Nazaretanek w Kielcach, bardzo dobra. Rodzice poszli. Siostra dyrektorka pyta, dlaczego tak późno, bo myśmy wrócili w końcu października. Więc rodzice mówią, że z Warszawy, z powstania, że Niemcy, że potem Szwecja i pierwszym transportem możliwym wróciliśmy. Ale ile tu kosztuje? A siostra mówi: „Jak to? Dla państwa nic”. I za darmo mnie przyjęła do prywatnej szkoły. Taka była różnica między szkołą państwową a prywatną. Więc rok byłam w Kielcach, uczyłam się, mieszkaliśmy u babci. Babcia miała własny dom w Kielcach, ale w czasie bombardowania stacji kolejowej i pociągu, tam ludzie uciekali z pociągu, wpadli do ogrodu babci, Niemcy zaczęli strzelać z samolotów, część domów się rozleciała, a ludzie z tych domów, których już nie było, wpakowali się do domu babci. Babcia wynajęła mieszkanie koło katedry w Kielcach, porządne, ładne mieszkanie. Mieszkała krótko, bo Niemcy zrobili tam dzielnicę niemiecką i wyrzucili babcię na peryferie, do takiego domu, gdzie nie było ani wody, ani gazu, ani kanalizacji, nic, tylko była żarówka i tyle było szczęścia. Myśmy się tam do babci sprowadzili. Było strasznie dużo radości, bo wszyscy po wojnie, mamusia miała pięcioro rodzeństwa i z babcią nie było nikogo. Mamusi siostra była 5 lat w Ravensbrück. Zresztą po wojnie dostała

nagrodę, jeszcze 8 lat była na Montelupich i potem w Grudziądzu.

### **Tomasz Sudół: A jak się nazywała?**

**Teresa Krzyżanowska:** Czarniecka. Potem mamusi brat był za Archangielskiem na Kołymie, tam gdzieś. Z Armią Andersa wrócił. Drugi brat zginął w 1939 roku. Właściwie nie zginął, był ciężko ranny. Leczył go doktor Levittoux, to była sława przed wojną, chirurg. I wpadli najpierw w ręce niemieckie, potem w rosyjskie. I doktor Levittoux mówił, że go uratuje i uratuje nogę, bo był ranny w nogę. Tymczasem Sowieci aresztowali doktora Levittoux. Już nie wrócił zresztą. A nikt się rannym nie zajmował. Tak że gangrena, do grudnia żył i umarł w Brześciu Litewskim. Tak że po wojnie wszyscy zjeżdżaliśmy do tego mieszkania na poddaszu, bez wody, bez kanalizacji, bez niczego. Jak myśmy się tam pomieścili w tyle osób, bo tam mieszkała babcia ze swoją siostrzenicą, bo żadnego już dziecka nie było. Nas było troje, ciocia z Ravensbrück była następną. Potem długi czas po wojnie przyjechał mamusi brat, który szukał rodziny przez Czerwony Krzyż. I Czerwony Krzyż go zawiadomił, że wszyscy nie żyją. Wobec tego on postanowił nie wracać i miał do wyboru jechać albo do Kanady, albo do Australii. Ale to trwało miesiącami, a inni wracali już do Polski. Więc on poprosił kolegę, który jechał do Kielc, żeby pojechał i napisał mu, w jakich okolicznościach wszyscy zginęli. To ten pojechał i dowiedział się, że babcia żyje i że wszyscy już tam jesteśmy. Więc on jeszcze przyjechał, dowiedział się, że urodziła mu się druga córka już po aresztowaniu, bo ciocia była w ciąży, jedna miała rok, a z drugą była w ciąży. Ciocię przyszli aresztować, bo oni mieszkali w Łomży. Jego aresztowali, a potem przyszli po ciocię. Ale jej brat urządził takie sceny, a ją ktoś ostrzegł. I ona uciekła z domu, będąc w ciąży z tą dziewczynką roczną. Coś tam złapała, jakieś sweterki, jakieś coś i uciekła w pole. A rano przyszli aresztować ją. I brat, który pracował wtedy w piekarni, jej brat urządził scenę. Mówi: „Jak to? Przecież byli wasi, już ją aresztowali. Przecież widzicie, jaki tu bałagan. Szuflady pootwierane, wszystko powyrzucane z szuflad. Była rewizja i aresztowali ją”. I tak sugestywnie mówił, że oni mu uwierzyli. I w ten sposób się uratowała.

### **Tomasz Sudół: Nie szukali jej?**

**Teresa Krzyżanowska:** Nie. Tam był bałagan. On się dowiedział, że ma drugą córkę, bo mu Cyganka wywróżyła, że będzie miał syna. Jak już był w Armii Andersa, tam gdzieś na trasie była Cyganka, która mu wywróżyła syna. Jak wrócił, to się 9 miesięcy później urodził syn rzeczywiście. Tak że Cyganka powiedziała prawdę. Takie były nasze losy.

### **Tomasz Sudół: A pamięta pani ten adres w Kielcach? Gdzie ten dom stał w Kielcach?**

**Teresa Krzyżanowska:** Nie ma tego domu, rozebrany. Tam osiedle jest wybudowane. To była ulica Nowowiejska 5. I na poddaszu było to mieszkanie. Oczywiście nie było kuchni elektrycznej, tylko paliło się pod blachą. Wodę się przynosiło z podwórka, ze studni. Mnie nie wolno było wyciągać wody, bo mówili zawsze, że ty utopisz wiadro, bo wiadro było na takim kijku, na takim zagiętym, wieszano się na tym wiadro. Nieczystości się wynosiło i tak mieszkaliśmy. Ojciec początkowo też tam był, ale potem wrócił do elektrowni i mieszkał, budynek administracyjny elektrowni nie był zbombardowany. Znacząco pozostał. I ojciec trafił do swojego gabinetu, rozkładał na noc polowe łóżko, a rano związał. I już był jego gabinet. Ale myśmy z mamusią już nie mogły tak być. I z Natalką jeszcze. Natalka pojechała

do swojej siostry, która mieszkała na Grochowie. I jej dom ocalał. Przez rok mieszkaliśmy w takich warunkach. Jak chodziłam do tych Sióstr Nazaretanek, uważałam, że mi nie wypada się źle uczyć, jak mnie siostry za darmo do prywatnej szkoły przyjęły. Znowuż miałam same piątki z odznaczeniem. Mam taki dyplom. Nie było innych odznaczeń, bo wszyscy byli za biedni. Ale siostry ładnie malowały i wymalowały mi takie odznaczenie. I to mam. Ojciec zaczął się rozglądać, żeby gdzieś wyjechać, gdzie by było służbowe mieszkanie, bo niecały rok tak był. Zaproponowali ojcu w Słupsku z mieszkaniem. Bardzo ładne mieszkanie, to była willa, z 5 pokoi czy ileś, bo już nie wiem, 2 pokoje jeszcze na górze. Tak że wszyscy do nas przyjeżdżali, jeździli do Ustki, bo było 19 kilometrów, i nad morze. I takie były wakacje potem. I przeprowadziliśmy się do Słupska. I o ile szkoła w Kielcach, Platerówna była bardzo dobrą szkołą, Nazaretanki też, bardzo dobra szkoła była. Przecież ja poszłam do szkoły i nie miałam ani jednej książki, nic. Ciocia mi dała 15 złotych na zeszyt, dała mi obsadkę, atrament w butelce i tak wyposażona poszłam do szkoły. Książek nie było, ale bardzo dobra była obsada nauczycielska. Bardzo dobra szkoła, bardzo ją dobrze wspominam. Pojechaliśmy do Słupska. W Słupsku było jedno gimnazjum, bo tam chodziłam do pierwszej klasy, a potem była reforma. Tu już była dziewiąta klasa. Nie, ósma klasa chyba, ósma, dziewiąta. Szkoła była jedna na cały Słupsk. Nauczyciele byli bardzo różni. Polonista mówił: „Rękamy, nogamy, wy chamy”. To myśmy się podzielili. Chamy były zza Buga, a hołota była z Warszawy. To już myśmy dorobili. Równocześnie matematyki uczył profesor Politechniki Lwowskiej. Wcale nas dobrze nie uczył, za mądrze. On był przyzwyczajony do studentów, a myśmy byli za głupi na to. Tak że najrozmaitsze były. Zbieranina uczniów. W klasie nas było 69 osób. Był kolega, który miał 18 lat, a byli tacy, co mieli 13. Ja rok straciłam, to miałam 14. A ten był w partyzantce, ale nie uczył się przez tyle lat. Przyszedł do szkoły. Była koleżanka, która z Armią Andersa wróciła, z matką, już bez ojca. Ja jej zazdrościłam, że taki kawał świata widziała, a ja tylko byłam w Niemczech i w Szwecji. Ale to była niesamowita zbieranina ludzi, i uczniów, i nauczycieli. A szkoła była pod psem, naprawdę. Nauczyciela jednego podobno wynosili pijanego z PPS-u, bo wtedy jeszcze PPS był. Z lokalu PPS-u, codziennie był pijany. Ja tego nie widziałam, ale takie chodziły opowieści. Były 3 klasy równoległe i 3 klasy na popołudniówce przyspieszone. Trafiłam potem do Gdańska, bo ojcu zaproponowali pracę w Gdańsku, z mieszkaniem znowuż. To pojechaliśmy do Gdańska. W Gdańsku trafiłam do bardzo dobrej szkoły znowuż, ale miałam braki, bo z tej słupskiej szkoły, tam na przykład nie było geometrii, tu był drugi rok nauki, a tam nie miałam. Nie było chemii i dopiero miałam trudności, bo trzeba było dopędząć. I z fizyki miałam trudności jakież. Ale skończyłam dziewiątą klasę. Przeszłam do następnej szkoły, bo tu nauczycielce nie odpowiadały moje przekonania. A ja miałam bardzo zdecydowane przekonania polityczne. Więc doszłam do wniosku, że nie ma co siedzieć do matury, bo dostanę złą opinię. W ciągu roku się zdecydowałam przejść do innej szkoły. Miałam koleżankę, która robiła to samo co ja, a szybciej realizowała ode mnie wszystkie moje głupie pomysły. Więc ona powiedziała: „Jak ty przechodzisz, to ja też”. Poszliśmy do drugiej szkoły, do dyrektora. Dyrektor mówi: „To jak to tak, w ciągu roku, dlaczego?”. To mu powiedziałyśmy prawdę, że nauczycielka mówi, że jesteśmy aspołeczne jednostki, bo nie chodziłyśmy na kopanie kartofli i na jakież tam zebrania i nie należałyśmy do ZMP. I zdecydowałyśmy się zmienić szkołę, bo dostaniemy złą opinię. Więc dyrektor mówi: „Aha, no. Tam nie ma ławek, ale może jakież w piwnicy są”. Mówimy: „To my przyniesiemy”. To go trochę rozbawiło, zaczął się śmiać, mówi: „Już ja to załatwię, że ktoś przyniesie”. I następnego dnia poszliśmy do drugiej szkoły. Z tamtą pożegnałyśmy się, bośmy ją bardzo lubiły. Poszliśmy do drugiej szkoły. Do domu przyszłam, mówię: „Od jutra chodzę do innej szkoły”. Ojciec mówi: „Ty nas zabijesz tymi pomysłami swoimi”. Ale nie było kłopotów. Skończyłam dziesiątą klasę w tej szkole i wykombinowałam, że właściwie mogłabym zdać maturę, nie chodząc do szkoły. Poszłam do kuratorium, dowiedziałam się, że są matury dla eksternistów. Wobec tego zapisałam

się na tę maturę. Dostałam zaświadczenie, że będę zdawać we wrześniu. Nie, w sierpniu, w końcu sierpnia. A potem się dopatrzyli, że obie skończyłyśmy dziesiątą klasę i że nie wolno zdawać od razu matury, możemy rok odczekać i wtedy zadawać maturę, to nie miało sensu. Więc powiedzieli nam: „Chyba że wam ministerstwo pozwoli”. To myśmy wsiadły w pociąg, pojechałyśmy do ministerstwa, dwie mądre. W ministerstwie nie bardzo chcieli z nami rozmawiać. Powiedzieli, że niech wystąpi kuratorium drogą służbową. Więc telefonowałyśmy, nasze mamy załatwiły jakoś podanie. Kuratorium przedstawiło pieczętkę na tym podaniu. Przyjechały nasze mamy, ponieważ mamusia pracowała w tymże ministerstwie przed wojną, to spotkała znajomych, bardzo byli życzliwi, ale powiedzieli, że właściwie to kuratorium ma decydować o takich sprawach, a nie... Więc w rezultacie napisali, że do decyzji kuratorium. Kuratorium ostatecznie w przeddzień matury się zgodziło, że możemy zdawać. Myśmy zaczęły płakać, że uczyłyśmy się 7 tygodni aż, a przestałyśmy się uczyć, bo jak nas nie dopuścili, to po co. Ale był jeszcze jeden termin tych egzaminów i dopuścili nas. Zdawałyśmy, zdałyśmy maturę z 13 przedmiotów. Nawet z tych przedmiotów, których nie było w ostatniej klasie, to i tak trzeba było zdawać, z poprzednich klas. Na przykład geologia była w poprzedniej klasie, łacina była w poprzedniej klasie. Bo w ostatniej już nie było. Dostałyśmy się. Ja poszłam do szkoły muzycznej wyższej, bo jak chodziłam do szkoły tutaj do dziesiątej klasy, to zrobiłam dyplom średniej szkoły. To uważałam, że to będzie za trudno zdawać maturę i dyplom. I jeszcze tam miałam złą opinię, to doszłam do wniosku, że trzeba zdać tę maturę. Poszłam do Wyższej Szkoły Muzycznej, tak się nazywała.

### **Tomasz Sudół: W Gdańsku?**

**Teresa Krzyżanowska:** W Sopocie. Ale potem znowuż miałam mądry pomysł, że się nie nadaję jednak do koncertowania. Za bardzo się denerwowałam, ja się nie nadawałam na gwiazdę. Doszłam do wniosku, że muszę iść na prawo. Ale na prawo nie można było iść, nie wolno było zmieniać wtedy kierunku studiów. Ale ponieważ ja pracowałam cały czas w Gdańsku, jak zdałam maturę, znaczy przed maturą też pracowałam, bo dawałam korepetycje, a potem pracowałam, nawet w kuratorium w Gdańsku pracowałam, będąc już na studiach. To napisałam, miałam zaświadczenia z pracy, a nie napisałam, że byłam w Wyższej Szkole Muzycznej. Przyjęli mnie na uniwersytet dzięki temu kłamstwu. Bo jak już byłam na drugim, na trzecim roku, to uczyłam w ognisku muzycznym z kolei. Jak miałam zaświadczenia z pracy pomaturalnej, to wszystko było w porządku. Przyjęli mnie na studia i skończyłam je.